

Rok VI.
Kraków, dnia 16 czerwca 1912 r.
Nr. 24.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz jednoszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6. Telefon nr. 2346.

Zgubna robota.

Z kim kto przestaje, takim sam się staje. To przysłowie nietylko do ludzi, lecz i do książek się odnosi. Książka może być przyjacielem, może być też największym wrogiem czytelnika. Zależy to od jej treści od nauk, które daje, od zasad, które głosi.

Człowiek, którýby ciało swoje karmić chciał zepsutą strawą, może nabawić się choroby, a nawet śmierć znaleźć. Kto ducha karmi zgnilizną, zatruje ducha, spaczy i skrzywi charakter, zdeprawuje sumienie. Chore ciało chore rodzi myśli i uczucia; skażony duch jest źródłem fizycznego zwyrodnienia. Jak bowiem wszelki postęp ludzkości w duchu się rozpoczyna tak i wszelki rozkład tamże swój początek bierze. Zatem troska o moralne zdrowie społeczeństw ludzkich nietylko z idealnych, religijnych pobudek jest nieodzowna, lecz także ze względów społecznych i narodowych jest konieczna.

To też czuwają tak rządy jak i prywatne instytucye nad zdrowiem moralnem społeczeństw. Jednakże ta opieka okazuje się wciąż jeszcze niedostateczną. Władze kierują się po największej części wielką w tej mierze wyrozumiałością, a często nie mogą nawet przeciwdziałać złemu, jakie szerzy się wśród społeczeństwa.

Jak z jednej strony książka lub gazeta może dawać zdrowy pokarm i wszczepić w nas dobre ziarna, tak z drugiej strony może nieść zgniliznę moralną i zatracenie ducha naszego. A, niestety, wybór materyału do kształcenia ducha trudny, nieraz bardzo trudny. Każdy wydawca zachwala swój towar, jako najlepszy, a nietylko wydawca, ale nieraz wielka rzesza ludzi duchem jego przejętych.

Książki i gazety zło i zgniliznę moralną podają często w formie tak słodkiej i ponętnej, że człowiek ani się spostrzeże, iż gdzieś na dnie jad a trucizna się mieści. Dopiero z czasem, powoli, poczyna szydło z worka wychodzić, poczyna trucizna działać i zabijać ducha ludzkiego.

Cel bywa rozmaity. Jednym zależy na skrzywieniu ducha ludzkiego, aby wyrzuciwszy z niego, co dobre, zasiać tam gorycz, nienawiść, zadrość a przez to człowieka pociągnąć w swe sidła i zrobić go narzędziem swych niecnych zamiarów. Drudzy starają się złemi książkami i gazetami spaczyć charaktery ludzkie, aby pociągnąć ludzi pod swój sztandar polityczny.

Oczywiście, że ani jedni ani drudzy nie powiedzą wprost: »Precz z religią!« »Precz z Polską!« — ale w swych pismach będą głosić, że religia, to rzecz prywatna, albo, że religia dobra, lecz księża źli i t. p. Gdyby wywiesili hasło: Precz z religią! — w jednej chwili straciliby zwolenników, ale gdy mówią: Precz z klerykalizmem! — jednego i drugiego ku sobie pociągną, a pociągnąwszy, zapuszczają w niego kropla za kroplą — truciznę niewiary, póki mu religii z serca nie wyrwą.

Gdyby tacy ludzie powiedzieli: Precz z Polską! — to niechybnie pod ich sztandarami zaledwie garść żydówby pozostała! Ludzie ci nazywają się nawet „polską“ partyą, ale na innem miejscu twierdzą, że tam nasza ojczyzna, gdzie nam dobrze. Podkopując w nas powoli miłość ku ojczyźnie, czynią nas już nie pasierbami jej, ale wprost wrogami.

I taka krecia, powolna robota u jednych i drugich trwa nieraz lata całe, działa powoli, ale wkońcu doprowadza do tego, czego sobie jej autorzy życzyli.

Niestety, złych książek, złych pism mamy coraz więcej. Wrogowie katolicyzmu i polskości nie żałują pieniędzy, pchają swój towar za półdarmo, wymyślają najrozmaitsze sposoby, aby ludzi ku sobie przywabić a potem wydrzeć im uczucia szlachetne i ukochanie tego, co dobre.

Natomiast wydawcy książek i gazet dobrych pracują z zaparciem samego siebie, poświęcają często ostatni grosz, aby złemu zapobiedz. Wysiłki ich pozostają często daremne, gdyż złe ludziom lepiej smakuje.

Ant. St. Bassara.

PRZEZ POGROM.

Opowieść z Wielkiej Wojny w 1812 r.

ROZDZIAŁ IV.

Pod Możajskiem.

Siedmiu naszych znajomych przyjęto z otwartemi ramionami, gdyż kule moskiewskie pod Smoleńskiem dobrze przerzedziły szeregi Napoleona. Wprawdzie Napoleon odniósł zwycięstwo, do którego Polacy przyczynili się w znacznej mierze, ale siły moskiewskie klęską tą nie były jednak bynajmniej zniszczone. Moskale cofali się ciągle, nie przyjmując bitwy, przeto armia napoleońska musiała być stale w pogotowiu, musiała być przygotowaną na każdy możliwy atak.

Walka i jego towarzyszy przydzielił książe Józef Poniatowski, któremu ich przedstawiono, do 12 pułku do batalionu, któremu dowodził podpułkownik Rutkowski. Konie musieli oddać za marnem wynagrodzeniem artyleryi, która ich w bitwie pod Smoleńskiem wielką liczbę postradała.

Rutkowski, żołnierz dzielny i doświadczony, w czasie postojów nie dał ludziom próżnować, ale kazał odbywać ciągłe ćwiczenia, aby się mogli wprawić w robieniu bronią. Wobec tego Walkowi, przywykłemu do ciągłej a ciężkiej pracy, dni prędko mijały, bo co dla innych było prawie ponad siły, jemu przychodziło z łatwością. Gniewało go tylko to, że Moskale nie chcą czekać, ale ciągle uchodzą a uchodzą, a jemu tak się chciało sił swoich na ich karkach popróbować. Zresztą i za Marysią i za Wolicą jakoś mu tęskno było, więc radby coprędzej naprać Moskali i wracać do rodzinnej wioski, gdzie, nie wątpił, szczęście go czekało.

Ale Moskale, jakby naprzekór, ciągle się usuwali i dopędzić się nie dawali. Dopiero pod Możajskiem generał rosyjski, stary wyga Kotuzow, postanowił popróbować jeszcze raz swoich sił. Patrole napoleońskie przyniosły wiadomość, że Moskale są opodal i że z wszystkiego wnosić można, iż bitwę przyjmą.

Napoleon na tę wiadomość rozpogodził twarz, bo człowiekowi temu, przywykłemu do wielkich rozpraw, a stanowczych, gra taka w chowanego nie przypadała do smaku. W tej chwili rozbiegły się rozkazy po wszystkich szeregach armii napoleońskiej. Generałowie wydawali polecenia swym podkomendnym, ci szykowali oddziały do spodziewanej bitwy. Wszędzie zrobił się ruch i ożywienie, jak przed uroczystością jaką.

Rutkowski zagrzewał swój batalion do odwagi, dawał wskazówki i rady a każdemu rzekł ciepłe słowo, jak to ojciec czyni wobec dzieci.

Zatrzymawszy się przed Walkiem, poklepał go po ramieniu i rzekł:

— Waszeć pierwszy raz w ogień! A no daj Boże zasłużyć sobie na nazwę żołnierza, lub chwalebnie śmierć ponieść.

— Choćby i zginąć — odparł Walek — ale kiedym tak daleko przyszedł szukać Moskali, to chyba przed nimi nie ucieknę.

Uśmiechnął się Rutkowski a wyrzekłszy:

— Zobaczymy — szedł dalej, aby każdemu rzec jakieś zachęcające słowo. I tak przeszedł cały batalion, a wszędzie budził męstwo, dodawał siły i wlewał w serca moc i zapamiętanie, które z każdego z jego żołnierzy czyniły bohatera.

Dzień ten cały i drugi przeszedł na wolnem posuwaniu się naprzód do oznaczonych z góry miejsc i na ostatecznem gotowaniu się do spodziewanej bitwy. Jakoż na trzeci dzień zaczęły grać armaty swoją krwawą przygrywkę. Odgłos ich dochodził zdala i w sercu Walka budził jakieś dziwne uczucie. Nie była to trwoga, bo do serca chłopa polskiego bojaźń ma przystęp niełatwy, ale raczej obawa, aby te armaciska, od których głosu aże ziemia drżała, nie wytłukły wszystkich Moskali i dla niego nic nie zostawiły.

Zwierzył się Walek ze swemi obawami przed Zakliką obok niego stojącym, ale ten uspokoił go, mówiąc:

— Nie bój się, przyjacielu, jest tego ścierwa moskiewskiego tyle, że go armaty same nie zjedzą, ale i dla nas zostawią. Daj Boże, abyśmy tylko zębów nie wyszczerbili.

— Co zaś! — przerwał Walek.

— Zresztą — ciągnął dalej Zaklika — armaty to ino głos mają dobry, kieby baba jaka, ale w bitce szkody wielkiej nie czynią, tylko pyskują dobrze.

— A to czemu? — zagadnął Walek.

— Bo im zadaleko, to dojrzeć dobrze nie mogą. Co innego gdy przyjdzie walić w dużą kupę albo w mur jaki, to tak tłuką, że jeno pacyny lecą.

Byłby Walek dalej słuchał tego ciekawego tłomaczenia, gdyby nie rozkaz, który przeszedł po szeregach:

— Baczność! Na ramię broń!

Sękate, mazurskie dłonie uchwyciły karabiny, że te tylko jękły, jakby z bolu.

Padła znowu komenda i batalion Rutkowskiego wyciągnął się w linię i tak począł iść naprzód.

A tymczasem z oddali gruby jęk armat począł przerywać urywany stuk strzałów karabinowyh, który stawał się coraz częstszym, coraz bliższym, aż przemienił się w jeden stukot ciągły, jakby tysiące młocków stanęło na klepisku i jęło groch młócić.

Batalion Rutkowskiego szedł ciągle naprzód.

Stuk ów niby młócenie, słyszany przez Walka z lewej strony, przeniósł się obecnie na stronę prawą tak, że teraz łomot ów dochodził z obydwóch stron, a tylko on i jego towarzysze zostawali jakby na jakiej wyspie, około której szalała zawierucha i tańczyły huragany.

Nareszcie zobaczył Walek w oddali jakieś ciemne plamy, jakby stada czarnego ptactwa, poruszającego się i wijącego, by wąż jaki bez końca. Poznał w nich sotnie kozackie.

Wstąpiła tedy w niego taka zapalczywość, że chciał biedz ku nim w pojedynkę i choćby pięściami walić po łbach póki ostatni dychać potrafi. Przypomniał sobie jednak polecenia, że bez komendy to nie uchodzi, ale owszem za postępek taki można dostać kulkę w łeb, przeto wstrzymał się i czekał, co dalej będzie.

Wtem padł rozkaz:

— Baczność! Z ramienia broń!

I znów zachrzęściały karabiny w twardych dłoniach mazurskich a słuch się natężył, aby nic nie uronić z rozkazu przełożonych. Jakoż uważać trzeba było, bo Rutkowski wydał nowe polecenie a cały batalion, jakby pod ziemią, zapadł się w przydrożnym rowie.

Tymczasem Kozacy, pędząc na swych zwinnych, małych konikach, z wrzaskiem zbliżyli się na jakie pięćdziesiąt kroków.

Wtedy Rutkowski prawie jednym tchem zawołał:

— Broń do oka!

— Cel!

— Pal!

Runęła salwa, jak grom przeciągły. Śród Kozaków zrobił się zamęt. Kilkanaście trupów spadło na ziemię, wiele koni rozbiegło się po polu a reszta zakręciła koło i pomknęła w stronę, z której przybyła.

— To już? — szepnął rozczarowany Walek.

Nie był to jednak koniec, ale dopiero początek. Sotnia kozacka była wysłana li tylko dla zamaskowania ruchów piechoty. Jakoż zaraz po zniknięciu jeźdźców z za wzgórza poczęły się wyłaniać oddziały piesze i zbliżać coraz ku batalionowi.

Odezwała się komenda, chrzęsnęły kurki u karabinów, które poczęły ziać z siebie ogień na nieprzyjaciela. Stuk i łomot, jaki Walek słyszał najpierw z lewej a potem z prawej strony, przyszedł bezpośrednio do niego i tak się rozhulał, jakby świat cały jęczał a wył.

Kule przechodzić koło niego to z lewej, to z prawej strony, to ponad nim, ale jakoś się go żadna nie imała, choć się zbytnio nie krył. Ale im więcej tych kul krążyło, tym częściej do uszu jego dolatywał to jęk któregoś z towarzyszy, to śmiertelne żężenie.

Odgłosy te jednak nie wzbudzały w Walku trwogi, ale owszem wytwarzały jakąś zawziętość i postanowienie, że choćby mu w tem miejscu życie przyszło dać, to za żadne skarby świata byłby się nie cofnął.

Od czasu do czasu oglądał się tylko w bok, czy jego towarzysze podróży są jeszcze przy życiu. Ku wielkiemu zadowoleniu przekonywał się, że wszyscy co trochę podnosili broń do ramienia, celowali, poczem karabin wypluwał ze siebie swą zawartość, a ta najczęściej zmiatała jakiegoś Moskala. Walek z swej strony robił, co mógł.

Nagle usłyszał, że ktoś obok wymówił jego imię. Był to Jarniński. Prawą ręką chwycił się za piersi, lewą ręką zatrzepotał w powietrzu, rzucił się kilka razy i, nim Walek przyskoczył do niego, już nie żył.

Za chwilę prawie rownocześnie stało się to samo z Korsakiem i Wolskim. Jakiś skurcz bolesny chwycił Walka za serce a zęby zacisnęły się w złości okrutnej. Chwycił za karabin, podniósł się z ziemi i zawołał:

— Te psubraty wszyćkich nas tu wytłuką. Hej, kto żywy, za mną!

I jak ten głaz, który, oderwawszy się od swej podstawy pędzi z góry, miażdżąc wszystko po drodze, tak Walek pędził na oślep, a dopadszy szeregów moskiewskich, walił kolbą karabinu, kto się mu nawinął. W zapamiętałości wielkiej siły jego rosły w dwójnasób, tak że wkrótce kolba prysła w kawałki. Wyrwał wtedy z rąk jakiegoś rosyjskiego sołdata broń jego i tłukł na wszystkie strony, aż przed nim poczęli Moskale uchodzić. W tej robocie tak się zapamiętał, że nic przed sobą nie widział tylko łby Moskali i w te walił z całych sił.

Na zawołanie Walka rzucili się tuż za nim Zaklika, Rawicz, Rokicki, a za nimi inni. Rutkowski pozornie zżymał się na brak subordynacyi, ale w duchu był rad, bo podkomendni robili więcej, jak on mógł nawet pragnąć.

Przykład podziałał na innych, którzy wpadli na wroga z takim impetem, że ten zaledwie krótki czas opór stawiał, poczem tyły podał i uchodził szybko, gęsto trupem ziemię zaścielając.

Jakoż i po obydwu stronach Walka stuk i huk strzałów jął ustawać, a poczęła się na wszystkie strony przygłuszona młocka, przerywana jękami i okrzykami.

Nie skończyła się jeszcze na tem praca pod Możajskiem, ale to zapewniło zwycięstwo, które zostało jednak drogo okupione. Jak później bowiem stwierdzono, w strasznej tej bitwie zginęło lub zostało rannych blizko sto tysięcy ludzi, a 40 samych generałów; koni zaś do dwudziestu tysięcy.

Droga jednak do Moskwy, starej stoliców carów, stała dla Napoleona otwarta, tam bowiem Napoleon postanowił przezimować i odpocząć po uciążliwej drodze i po krwawych bitwach stoczonych pod Smoleńskiem i Możajskiem. A odpoczynek ten był konieczny, gdyż coraz trudniej było o żywność a armię opanowywało z dniem każdym większe zmęczenie.

Kiedy po bitwie podpułkownik Rutkowski odbywał przegląd swojego batalionu, kazał najpierw wystąpić przed front Walkowi. Zatrwożyli się o niego towarzysze, gdyż o ile wódz ich troszczył się o podkomendnych, o tyle wobec nieposłuszeństwa był surowym i karał ostro. A w czasie wojennym o nic tak łatwo, jak o kulkę w łeb.

Na zawołanie, wyszedł Walek cały zbroczony krwią, w potarganym mundurze, a oddawszy należny ukłon wodzowi, czekał na dalszy rozkaz.

Długo wodził po nim Rutkowski swem żołnierskiem okiem. Marszczył brew i wypogadzał ją, wreszcie zapytał:

— Czy waszeć nazywa się Walenty Drewniak?

— Tak jest! — panie pułkowniku — odrzekł Walek.

— A czy wiesz ty, synu, co ciebie czeka za samowolę? Czy wiesz ty, że pod karą śmierci nie wolno nic przedsiewziąć w czasie wojny bez polecenia. Czy wiesz ty... ty...

Nie mógł dokończyć słów rozpoczętych Rutkowski. Na usta chciał wysłać jakieś wyrazy groźne, karcące a serce miękło mu i na oko żołnierskie cisła się łza rozczulenia.

Widzieli to żołnierze i poczęli lżej oddychać, choć byli pewni, że kara Walka nie minie. Dowódzca ich nie zwykł był darowywać, ale byli pewni, że kara ta zbyt przykrą nie będzie. Byli pewni tembardziej, bo widzieli drgające wąsy i brwi dobrego wodza.

Walek jednak bojaźni nie czuł żadnej. Zrobił swoje, pomścił towarzyszy a o resztę się mu nie rozchodziło. Nie chcąc jednak, aby wódz, którego bardzo pokochał, myślał źle o nim, rzekł:

— Panie pułkowniku, jeźlim zawinił, ukarz mnie, ale dalibóg strzymać nie mogłem, aby te zatracone wiary moich przyjaciół, którzy mnie w drodze przygarnęli, bezkarnie wystrzelali. Panie pułkowniku, strzymać nie mogłem! A zresztą ja tak daleko szedłem, aby ich znaleźć, to mi do nich i szpieszno było.

— Milczeć! — krzyknął Rutkowski i popatrzył na Walka tem okiem, przed którem najstarsi wiarusi drżeli. Poczem gniew jego rozpłynął się w zakątkach oczu a natomiast wykwitła w nich łza tem szczersza i piękniejsza, bo żołnierska. Postąpił Rutkowski ku Walkowi, ujął dłoń jego skrwawioną a na czole położył ojcowski pocałunek.

— Niech żyje nasz wódz kochany — krzyknęli chórem żołnierze. — Na śmierć i życie za nim!

A Walek padł na kolana i całował stopy dobrego wodza, postanawiając, choćby życie dać za niego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

POŚWIĘCENIE.

Jasne, wiosenne słońce oblało strumieniami swych promieni wioskę W. W jego świetle widnieją szare chaty, gdzieniegdzie wybielone. Z pośród lasu drobnych zabudowań, w środku wioski, wznosi się dwór, z schludnie wybielonemi ściany, odbijającemi się wspaniale w blasku południowego słońca. Dworek ten, własność państwa Mokrzyckich, nie należał do zbyt bogatych i olbrzymich budowli, ale pod względem porządku i czystości przodował wielu innym. Na ganku, pod osłoną latorośli dzikiego wina. siedzi na ławeczce p. Mokrzycka i snuje w umyśle jakieś plany. Pani Mokrzycka, kobieta już leciwa była wdową. Córka jej Matylda, licząca pietnaście wiosen, była to dzieweczka niezwykłej urody a wychowana uczciwie przez pobożną matkę, mogła być dziewic najlepszym wzorem. Przybiegła ona dziś na ganek do matki a chwytając ją za rękę, ucałowała serdecznie i rzecze:

— Ach, droga mamo, pozwól mi dziś pójść na przechadzkę tam w gaik zielony!

— Córko moja jedyna, przybierz sobie jaką towarzyszkę, to ci pozwolę, z nią wyjść na chwilę! Inaczej, moje dziecię, ci nie pozwolę.

— Matuchno droga, pójdzie ze mną córka Wawrzyńca, Basia, obie pójdziemy.

— Idź, idź moje dziecię. niech cię Bóg błogosławi i od złego w tej drodze wybawi.

Wkrótce przybyła Basia i obie poszły w stronę zielonego i pachnącego gaju. Idą i napawają wzrok swój widokiem cudnej wiosennej przyrody. Powietrze czyste, na błękicie ani jednej chmurki, lekkie podmuchy wiatru podrygują tylko na umajonych liściem i kwiatami drzewach. Już dochodzą nasze dzieweczki do uroczego gaju. Tu poił ich ucho śpiew rozlicznych ptaszat, śpiew zamieniający się w melodyę przecudnych tonów. Basia upojona widokiem zielonego i woniejącego gaju tak rzecze do swej towarzyszki.

— Ach droga Matyldziu, co za śliczny widok, a śpiew ptaszat a cudna woń tego gaju — wiecznie bym się tu przechadzała!

— Tak, moja miła Basiu — odrzecze Matylda — doprawdy cudnie Pan Bóg ten świat i naturę jego przystroił. Ach jak Bóg jest dobry!... Ale o Boże!... czy słyszysz Basiu, cóż to za jęki nas dochodzą. Słuchaj, moja droga wszak to z tamtej gęstwiny. Ach! Boże, może jaki nieszczęśliwy, potrzebuje pomocy. Pójdźmy Basiu tam dotąd.

Dzieweczki skierowały kroki w stronę nieustannych jęków. I rzeczywiście spiesznie przedzierając się przez zarośle, znalazły rannego człowieka. Błagał on litości a od czasu do czasu wykrztusił: wody! Matylda pochyliła się nad nim i zapytała, kto go tu tak zbitego zostawił. Ranny otworzył załzawione oczy i szepnął:

— Bandyta... pieniądze... boli!.. Mokrzycka domyśliła się wszystkiego. Czemprędzej posłała Basię do domu po furę, by zabrać rannego, sama zaś zawijała i bandażowała mu rany, niszcząc na to swój wzorowany fartuszek. Później pobiegła z kapeluszykiem swym do źródła i przyniosła rannemu świeżej wody. Za chwilę przyjechała fura wraz z panią Mokrzycką i zabrali rannego do dworku.

Jak się przekonano z jego opowiadania, był on kupcem z sąsiedniego miasteczka. Właśnie dziś szedł przez lasek z większą kwotą pieniędzy, gdy dwaj jacyś rabusie napadli nań a zbiwszy i pokaleczywszy, odebrali pieniądze, zostawiając samego bez przytomności. Matylda ofiarowała rannemu swój pokoik i łóżeczko, na którem złożono kupca. Sama go pielęgnowała, nie dośpiąc i nie dojedząc, troszczyła się o jego zdrowie. Przywołany lekarz orzekł, że kupiec jest wyleczalny. Rzeczywiście kupiec przy troskliwem pielęgnowaniu młodej Mokrzyckiej, wyzdrowiał a podziękowawszy tej ostatniej za opiekę i poświęcenie, opuścił gościnny dwór. Jakież było zdziwienie dziedziczki Mokrzyckiej, gdy za dwa miesiące gościła swatów owego kupca, proszących o rękę jej pięknej i szlachetnej córki, dla tego ostatniego.

Walenty Pasierb.

WIANKI NA BOŻE CIAŁO.

Niema w kraju naszym bodaj chaty jednej ani domu takiego, gdzieby na uroczystość Bożego Ciała nie wito wianuszków z przerozmaitych ziół wonnych. Wianuszki te zawiesza się potem lub kładzie gdzieniebądź przy ołtarzu na cały czas trwania uroczystych ośmiodniowych procesyi, aż do oktawy Bożego Ciała; następnie zabiera je gospodyni i zawiesza na obrazach w izbie albo na oknie, albo przy drzwiach chaty. Pamiątka to ładna, bo i z pobożności i zwyczaju dawnego wypływa.

Skądże wzięły się te zwyczaje wicia wianków?

Nietylko u nas, a i u innych narodów, za dawnych czasów, godłem cnoty, dziewictwa, odwagi, plonu wreszcie — był wieniec. Dziewczęta stroiły więc swe głowy w wianki z ruty, rozmarynu i przeróżnego kwiecia wonnego.

Wieniec uwity z kłosów zboża na dożynki, ma być znakiem dobrego plonu, którego życzą sobie nawzajem domownicy.

I wianki więc, które lud nasz wije na Boże Ciało mają swoje godło. Mianowicie woń ziół uważana jest jako oznaka cnoty, a w modlitwie, którą kapłan odmawia, święcąc wianki, prosi właśnie Boga, aby przyjął wonne cnoty tych, którzy na ołtarzu Jego składają pęki woniejącego ziela.

Zwyczaj wicia wianków na Boże Ciało we wszystkich prawie okolicach jest jednakowy.

Wszędzie wianuszki te wiją dziewczęta z rozchodniku, macierzanki, niezapominajek, rosiczki itp.

Gdy się już skończą uroczystości Bożego Ciała, wtedy gospodynie wianuszki te zawieszają na gałązkach brzeziny, któremi umajone były ołtarze, i zatykają je w zagonach lnu, kapusty, ażeby — jak powiadają — rośliny te uchronić od robactwa.

Wianuszki takie kładą w rogach stodół, zawieszają lub okadzają niemi ściany nowowybudowanych domostw, a także i chorych ludzi. W niektórych okolicach, do wianków tych przyczepiają wypisane albo całe Ewangelie, albo słowa Ewangelii św. Jana: „A słowo ciałem się stało i mieszkało między nami". Tam, gdzie wypisują całe Ewangelie, wianuszki z niemi po większej części zakopują w czterech stronach pól swoich.

Z uroczystością Bożego Ciała, która u wszystkich katolickich narodów z wielką wspaniałością obchodzona bywa, u nas wiążą się i prastare zwyczaje, gusłami i zabobonami tchnące nieraz, ale miłe i rzewne, bo właśnie takie stare, bo to spuścizna po tych praojcach naszych, o której pamięć w duszach potomnych nie ginie. Więc wijmy wianuszki na oktawę Bożego Ciała; z pobożnością składajmy je na ołtarzach Pańskich, z pobożnością poświęcone zioła przynośmy do domu, żeby łączność swoją z Kościołem okazać; jeno do leków znachorskich ziół nie używajmy.



ZDOBYCIE WAWOZU.

KOBIETA.

Każdy człowiek, ponieważ jest cząstką społeczeństwa, powinen dbać o to, by był bogaty, mądry czyli oświecony, zdrowy i pobożny. Nie wolno mu mówić: ja mogę pozostać nieoświeconym, mogę być bezbożnym, niedobrym, bo gdyby wszyscy tak mówili, całe społeczeństwo byłoby ciemne, niedobre, chore lub biedne.

A wtenczas musiałoby się społeczeństwo powstydzić wobec innych społeczeństw mądrych, bogatych, pracowitych, lepszych. A nietylko wstydzićby się musiało, ale nawet — wobec innych społeczeństw pracowitych, mądrych, bagatych, istniećby nie mogło, musiałoby przestać żyć, upaść.

Życie więc każdego człowieka ma bardzo wielki wpływ na życie społeczne. Dlatego winien każdy człowiek starać się o to, by był dobrym członkiem swego społeczeństwa.

Ponieważ zaś kobieta jest tak samo członkiem społeczeństwa jak mężczyzna, więc i kobieta winna się starać o to, by być jak najlepszym członkiem społeczeństwa, do którego należy. Winna tak samo jak mężczyzna starać się o to, by życiem swem wpływać na dobrobyt, zdrowotność, oświatę społeczeństwa swego.

A możemy śmiało powiedzieć, że wpływ kobiety na społeczeństwo jest pod wielu względami większy, niżli wpływ mężczyzny.

Jaki wpływ na dobrobyt, na bogactwo społeczeństwa wywiera kobieta? Prawda, że zwykle mężczyzna utrzymuje pracą swą, swym zarobkiem rodzinę, że więc od jego dzielności, pracowitości i oszczędności zależy przedewszystkiem dobrobyt rodziny i społeczeństwa, lecz może być mężczyzna jak najpracowitszy, a jeżeli żona jest rozrzutną, nie wie, co to oszczędność i zaradność, wtedy w rodzinach, a skutkiem tego w społeczeństwie będzie wieczna bieda.

Tysiące kobiet skazanych jest na to, by utrzymać siebie i rodziny. Gdyby te kobiety były niepracowite, nieoszczędne, wytworzyłyby wielką biedę w społeczeństwie, które je same i ich dzieci musiałoby wyżywić, a przez to stałoby się biedniejsze.

Dalej od kobiety zależy bodaj w największej części oświata społeczeństwa; bo najpierw tworzą one połowę społeczeństwa, jeżeliby więc nie dbały o oświatę, cała połowa społeczeństwa byłaby nieoświeconą, nie umiałaby n. p. czytać lub pisać. Przytem kobieta jest właściwą wychowawczynią całego przyszłego społeczeństwa. Mąż, zajęty całodzienną pracą, rzadko kiedy jest w domu. Kobieta uczy i wychowuje dzieci przyszłych członków społeczeństwa. Jeżeliby sama nic nie umiała, nie mogłaby nauczyć niczego dzieci, społeczeństwo stałoby się nieoświeconem.

Od zdrowia kobiety-matki zależy zdrowie dzieci, przyszłego pokolenia. Winna więc kobieta starać się być zdrową, wiedzieć co zdrowiu służy, co je rujnuje.

Kobieta wychowuje przyszłe pokolenie, daje mu podstawy życia religijnego, dobrego, zacnego.

Kto więc wobec tego zaprzeczy, że przy tak wielkim wpływie, jaki życie kobiety wywiera na życie społeczeństwa, wychowanie kobiety jest pierwszem i najważniejszem zadaniem wobec społeczeństwa, pierwszą i najważniejszą, bo podstawową pracą społeczną?

Zważywszy, że posłannictwo kobiety jest tak wielkie, powinna każda z nich starać się o podniesienie samej siebie, aby być rzeczywistą przewodniczką społeczeństwa.

Powieść o śpiących rycerzach.

Dawno już niesłychanie, jako prawi podanie,
Żył wielkolud, postaci ogromnej;
A w wojennej żył porze, bił Ruś, Niemców, Pomorze.
A był mężny, pobożny i skromny.

Z królem wszędy wędrował, a król ciągle wojował
I bił słupy i w Dnieprze i w Sali.
Z niemieckiej zaś krainy, szli w węgierskie dziedziny,
Do Kijowa złotego chadzali.

Król zakończył dni chwały, płakał po nim lud cały,
Każde serce ścisnęło się bólem.
Lecz najwięcej płakali ci rycerze wspaniali,
Co nie chcieli żyć — jeno z tym królem.

Ruszył hufiec ponury, na południe gdzieś w góry:
Przed rycerstwem na drodze szczelina:
Miecze, zbroje szczękały, kiedy wjeżdżał huf cały,
Z wojewodą królewska drużyna.

Miesiąc byli już w drodze, więc zmęczeni dziś srodze,
Rzędem spać się pokładli na ziemi.
Śpią snem twardym i dobrym, o swym królu śnią Chrobrym,
Rycerz Świerczek, wielkolud, śpi z niemi.

Wiek po wieku hen płynie, aż w królewskiej drużynie
Pierwszy Świerczek swe oczy otwiera.
Więc przeciągnął swe kości, przeogromnej długości,
Na drużynę z podziwem spoziera.

Chce którego obudzić, ale szkoda się trudzić,
Nadaremnie zachody i praca;
Wstrząsnął jak drzewa kłodą, Słojgniewem wojewodą,
Wojewoda się na bok obraca.

I śpi dalej znów smacznie, nawet chrapać już zacznie,
Próżno zżyma się Świerczek i trudzi!
Więc porzucił drużynę, powędrował w dolinę,
By zobaczyć świat znowu i ludzi.

Biedny Świerczku nieboże, lepiej było spać może.
Cóżeś ujrzał na ziemi rodzonej?
Zniszczona praca dawna, minęła przeszłość sławna,
Niema króla już, niema korony!

Ale rycerz uparty, zawinął się nie na żarty,
(Dawniej wszyscy też mieli być tacy!)
Nie płakał i nie szlochał, odnowić chce, co kochał
I zakasał rękawy do pracy.

Cegłę do cegły składa i szkoły zakłada,
Może z nimi znów będzie wojować.
Niczego się nie wzdraga, wszędzie biedak pomaga,
Nawet musi gazetkę drukować!!!

I czasem tylko we śnie, westchnie rycerz boleśnie.
Na wspomnienie o dawnych granicach;
O dawnej wielkiej sławie, o królu Bolesławie,
O Kijowie, Pomorzu, Łużycach.

Może zanim wiek minie, w owej górskiej szczelinie,
Znów obudzi się który z rycerzy;
A czas lepszy nastanie, gdy huf cały powstanie,
Tak lud szepcze, a kto chce, niech wierzy.

O złodzieju, co ornat kupował..

Beł se roz hruby gazda jeden i mioł syna jedynaka. Choć chłopcysko miało już bez mała dwadzieścia roków, próżniok beł śniego, jakiego świat nie widzioł. Bez cały dzień ino na wyrku albo w sadzie lezoł, kluski ze spyrką zar, a kie przised wiecór, to seł do karcmy popłuknąć piwem albo gorzołką. Kany ino jako muzyka beła, to on tamok pirsy; a ze na gembie beł nieśpetny, to dziwki za nim zyrkały, bo i huloł śwarnie, a tak siarcyście, ze zyd musioł karcmę popodpirać kijami, coby się od jego hulanio nie ozwaliła.

Ludzie gwarzyli ojcu cięgiem, ze syna chowo na subienictnika, ale on sie ino podśmichowoł i dumoł:

— A niechze ta! Hulo, bo je młody i głupi; kie dorośnie, to wysumi i statku nabieze...

Synek sumioł, ale pocęło mu się cnić we wsi, bo hulanie i pijatyka w karcmie mu sie przijadła. I dobrze nie bardzo pado roz do ojca:



— Ojciec, pódem w świat, bo sie mi tu cnie...

— Ady idź, nie trzimom cie. — Poseł potem do komory, wylicył mu duzo śrybła i przezegnął na droge. Jemu, niby temu synowi, zrobiło sie troche markotno ze opusco chałupe, ale kie pocuł śrybło w garści, ozweselił sie, pokłonił do kolon rodzicowi i poseł...

Idzie i idzie już kiela dni, do kuzdy karcmy zachodzi, jaze doseł do wielkiego miasta. Tam huloł dotela, pokiel nie psehuloł reśte grajcarów. Kirpce i przjodziw sie mu styrały, tak ze wyglądoł, jak ostatni włócęga. Idzie markotny i myśli se:

— Przistanem cheba do złodziejów; do chałupy nima po co wracać, boby sie ze mnie śmioły we wsi.

Jak podumoł, tak i zrobiuł. W jakisi karcmie spotkał ich cheba z pięci, jak sie dzielili tem, co kanyś ukradli. Wdoł sie śniemi w pogwarke i prosił, coby go wzieli do siebie. Harnaś obyrtnął nim, wyoglądnął na wszyćkie strony a na ostatek grzmotnął go pięścią w kark, jaze w nim bekło. Nie zgiął się ani sie nie skrzywił i bez to im sie nadoł. Tak harnaś pado do niego:

— Udałeś sie nom, bo widno, iżeś nie sietniok; ale musis jesce zdać agzamin, cy i głowe mos nie na wsy, cyli krótko mówioncy, cy potrafisz mądze kraść, coby cie kany nie zajęli. On sie oześmioł i pado:

— Co sie pytocie? Dejcie mi ino przjodziw śwarniejsą, zebym wyglądoł na pozomnego gazde, a jutro zobacycie, cy wartom być wasym towarzisem. Oni mu dali, co kcioł, umówili sie śnim, kany go bedą cekać i on poseł do tego wielgiego miasta, bo widzioł, ze haniok bedzie setny jarmak na Gawła. Zaseł na targowice, kany bydlęta przedają i chodzi a wypatruje, niby woły oglądając. Obocył wreszcie jak jakisi gazda przedaje woły, jak smoki. Stanął se zdaleka i słucho, cy te woły przedo i za kiela. Przedał je za tysiąc śrybła.

— Dobra nasa! — myśli se — juz go mom! Seł potem krok w krok za tym gazdą, a jak juz byli w rynku, zacypił go i pado:

— Pochwalony Jezus Chrystus! A skanyzeście, gazdo?

— Na wieki wieków! A dy od Myślenic. Przedołem woły i trza wracać do chałupy, bo roboty moc. A wy z kany?

— Io od Poronina, ale, wicie, mom wielgie zmortwienie...

— A coz wom to?

— Nas jegomość obchodzi za tydzień imieniny, a ze juz bez mała śtyrdzieści roków w nasy wsi siedzi, uchwolili my, coby mu sprawić galanty ornot i wysłali mnie, cobym go kupil. Syćko bełoby dobrze, ino nimom nikogo takiego, coby mi pomóg obrać, a trzaby koniecnie i zmirzać, zeby zasie pasowoł. Chodze i wypatruję, jaze wyście mi sie nadali, bo widno, żeście śwarny gazda, bo i z figury i wzrostu całkiem jesteście do nasego jegomości podobni. Cybyście tyz nie pomogli bliźniemu, tem bardzi, ze to i na chwałę Bozą?..

Gaździe pochlibiło to, ze podobny do jegomości i ze to ornot trza mirzać i pado ucieszony:

— No to nie gworzmy po próżnicy, a choćmy kupować, bo się juz zmyrko.

Weśli do sklepu, kany ornoty przedajom i kozali se pokozać co najśwarniejse. Kupiec wyjon, a oni obzirają, przimirzują, ale jakosi zoden nie pasuje. Kupiec juz zacon być zły, a na dwoze robiło sie coraz ciemnij. Jak juz ten, co przimirzowoł, wdzioł ostatni ornot, tak ten złodzij pado:

— Wicie, ten jak uloł, dychtyk dobry, ale haw sie coś odymo w pasie. Zebyście tak zdjęli ten pas, toby już beło dobrze.

Przi tym pasie był trzos setny, a w nim piniądze za woły. Gazda nic nie podeźrywający, odpiął pas, położył na stole a som sie w przeziradle przeglądoł, dziwując sie, żeby mu pasowało być jegomościem.

Złodzij temcasem łaps za pas i w nogi! Wypod na rynek w nowiększą cizbę... Ten, co beł jego pas, jak zeźroł, co sie stało, wypod jak beł w ornocie i lecioł bez rynek, wrzeszcząc na całe gardło:

— Łapojcie złodzieja!

Ale i złodzij, ten co pas porwoł, tyz krzicoł:

— Chytojcie złodzieja!

Ludziska zasie pozwirały gęby, bo nie wiedziały, kogo łapać. Dopiro, kie i kupiec wypod ze sklepu i pędził za tym, co lecioł w ornocie, wrzescąc:

— Łapajcie złodzieja! — wtedy ludziska, myślęcy, co on złodzij, bo w ornocie ucieko, zajeli go i powiedli do sądu.

Tamok sie wsyćko wydało, gazda musioł oddać ornot kupcowi i bez piniędzy wracać do chałupy, naraziwszy sie na pośmiewisko ludzkie.

Złodzij tymczasem doseł prześpiecnie do kryjówki, oddoł złodziejom śrybło, a kie im ozpedzioł, jak te piniądze ukrod, to śmioli sie do pęku i pocęli go sanować za jego rozum i zrobili go drugim harnasiem. Hej!...

Sioło Władysław.

ROZBITKI Z BALONU.

ROZDZIAŁ IV.

Powrót. — Rozmowa. — Cyrus i nieznajomy. — Port Balonu. — Doświadczenia. — Kilka łez wylanych.

Nazajutrz, — 20. października, — o siódmej rano, Bonawentura dopłynął szczęśliwie do ujścia Mercy.

Cyrus Smith i Nab, zaniepokojeni przedłużającą się nieobecnością towarzyszów, już o świcie weszli na płaszczyznę Pięknego widoku, skąd też nakoniec dostrzegli zbliżający się statek.

— Dzięki Bogu! to oni! zawołał Cyrus Smith.

Co do Naba, ten zaczął z radości tańczyć, kręcić się do koła, klaszcząc w ręce i wołając:

— To oni, mój drogi panie!

Inżynier mógł wreszcie dostrzedz osoby, znajdujące się na pokładzie Bonawentury, i nabrał przekonania, że Penkroff nie znalazł już rozbitka na wyspie Tabor, lub że ten nieszczęśliwy nie chciał zamienić swego więzienia na inne.

Gdy statek przybił do brzegu, inżynier i Nab byli już tam. Cyrus pozdrowiwszy ich, zawołał:

— Byliśmy o was bardzo niespokojni! Czy nie spotkało was co złego?

— Nie — odpowiedział Gedeon — wszystko poszło jak najlepiej.

— Jednak — rzekł Cyrus — cel waszej wyprawy chybiony, skoro wracacie sami.

— Nie, panie Cyrusie, jest jeszcze ktoś z nami.

— Więc znaleźliście biednego rozbitka?

— Tak.

— Czy jest na statku?

— Jest.

— Któż to taki?

— Jest — rzekł reporter — czyli raczej był kiedyś człowiekiem!! Więcej nic nie możemy powiedzieć o nim, Cyrusie.



...nieznajomy zapuścił wzrok w gęstwinę.

Reporter opowiedział przyjacielowi wszystkie przygody z podróży, opisał mu wyspę Tabor, co na niej znaleźli, jak długo szukali napróżno biednego opuszczonego, w jaki sposób nareszcie znaleźli nieszczęśliwą istotę, w której już trudno dopatrzeć się człowieka.

Mieszkaniec wyspy Tabor okazał widoczną chęć ucieczki, skoro go tylko na ląd wyprowadzono, lecz Cyrus zbliżył się do niego, położył mu rękę na ramieniu i zwrócił na niego pełne słodyczy spojrzenie. Natychmiast nieszczęśliwy, jakby ulegając nieprzepartej sile, zaczął się uspakajać, spuścił oczy, pochylił czoło i stał się zupełnie uległym.

— Biedny opuszczony! — rzekł ze współczuciem inżynier.

Cyrus Smith, przyjrzawszy się uważnie nieszczęśliwemu, przekonał się, że istotnie w całej jego postawie nie pozostało już nic ludzkiego, lecz równie jak Gedeon dostrzegł w jego spojrzeniu pewne przebłyski rozumu.

Koloniści postanowili, że nieznajomy będzie mieszkał razem z nimi w Granitowym pałacu, skąd zresztą trudno mu było uciec. Poszedł za nimi bez oporu, co dozwalało mieć nadzieję, że przy troskliwych staraniach może stać się kiedyś ich towarzyszem.

W czasie śniadania, które Nab przygotował naprędce dla podróżnych, rozmawiano wiele o wyspie Tabor i o jej mieszkańcu, w którego twarzy, pomimo ogromnej brody i włosów najeżonych jak strzecha, inżynier dostrzegł charakterystyczne rysy Anglosasów.

— Ale doprawdy, Harbercie, nie powiedziałeś nam dotąd — rzekł Gedeon — jakim sposobem spotkałeś się z tym nieszczęśliwym. Wiemy tylko, że byłby cię zadusił, gdybyśmy nie przybiegli w sam czas z pomocą.

— Bo też i mnie samemu trudno byłoby opowiedzieć, jak się stało. Zbierałem właśnie nasiona, gdy nagle coś ciężkiego zsunęło się z drzewa, rosnącego o kilka kroków za mną, i zaledwie miałem czas obejrzeć się, ten nieszczęśliwy rzucił się na mnie i obalił. Gdyby nie pan Spilett i Penkroff...

— Rzeczywiście, moje dziecię, wielkie groziło ci niebezpieczeństwo — rzekł Cyrus — ale gdyby nie to, może ten nieszczęśliwy ukrywałby się przed wami i nie zyskalibyśmy towarzysza.

— Więc masz nadzieję, Cyrusie, że on odzyska jeszcze rozum? — zapytał Gedeon.

— Mam — odpowiedział inżynier.

Po śniadaniu, koloniści przenieśli do Granitowego pałacu wszelkie przedmioty, z wyspy Tabor zabrane, z wyjątkiem trzody chlewnej, którą zamknięto w chlewach.

— Panie Cyrusie — rzekł Penkroff, gdy na statku już nic nie pozostało — trzebaby umieścić Bonawenturę w dogodniejszem miejscu.

— Dlaczego nie miałby pozostać tu, gdzie stoi? — zapytał inżynier.

— Bo tu połowę czasu stać musi na piasku, co niekorzystnie wpływa na niego. A dobry to statek, panie Cyrusie, wybornie sprawiał się podczas wichru, który nas napastował w podróży.

— Gdzież więc chcesz go umieścić, Penkroffie?

— W porcie Balon. Ta mała przystań, osłonięta od wichrów skałami, wydaje mi się najodpowiedniejszą.

— Dobrze, Penkroffie, zaprowadź Bonawenturę, gdzie uznasz, że mu będzie najlepiej, chociaż wolałbym, abyśmy mogli czuwać nad nim zblizka; dlatego też, skoro znajdziemy na to czas, urządzimy bliżej dla niego wygodną przystań.

— Wybornie! — zawołał Penkroff. — Port z latarnią morską, tamą i dokami! A! panie Cyrusie, panu to wszystko przyjdzie z łatwością.

— Tak, mój poczciwy Penkroffie, ale pod warunkiem, że ty pomagać nie będziesz, bo dotąd we wszystkich naszych pracach, ty trzy części roboty bierzesz na siebie.

Wróćmy teraz do nieznajomego. Zaraz w pierwszych dniach jego pobytu w Granitowym-pałacu taka w jego powierzchowności i umyśle zaszła zmiana, że Cyrus i reporter zaczęli powątpiewać, aby kiedykolwiek mógł powrócić do rozumu. Z początku przyzwyczajony do nieograniczonej swobody na wyspie Tabor, nieznajomy rzucał się gniewnie w swym pokoju; obawiano się nawet, aby nie wyskoczył oknem, powoli jednak uspokoił się i pozostawiono mu zupełną swobodę ruchów. Zaczął także używać mniej zwierzęcych pokarmów, a mięso pieczone i gotowane nie budziło już w nim wstrętu.

Cyrus Smith zastał go raz uśpionego snem twardym, i korzystając z tego, obciął mu włosy i brodę, tworzące rodzaj grzywy i nadające mu tak dziką postać. Poźniej znów włożył na niego przyzwoite ubranie. Dzięki też jego staraniom, nieznajomy odzyskał postać ludzką; zdawało się nawet, że oczy jego przybrały łagodniejszy wyraz.

Cyrus Smith uważał sobie za obowiązek, aby codziennie kilka godzin spędzić w jego towarzystwie; pracował w jego pokoju i zmieniał często rodzaj zajęcia, aby tym sposobem ściągać na siebie jego uwagę. Mówił głośno z towarzyszami, którzy razem, lub oddzielnie przychodzili do niego, aby odrazu przez wzrok i słuch działać na ten odrętwiały umysł. Mówili zwykle o rzeczach, dotyczących marynarki, jako o przedmiocie najwięcej zajmującym marynarza. Niekiedy zdawało się kolonistom, że nieznajomy zwraca uwagę na to, co mówią, że ich rozumie. Czasami znowu twarz jego przybierała wyraz głębokiej boleści, jakby w sercu jego kryło się jakieś moralne cierpienie; milczał jednak ciągle, choć nieraz można było sądzić, że chciałby coś powiedzieć.

Biedak był zawsze spokojny i smutny. Czy jednak nie był to spokój pozorny, czy pozbawienie wolności nie było przyczyną tego smutku? Czy rzeczywiście odradzał się fizycznie i moralnie, czy też oswajał się tylko z ludźmi? Były to pytania, które Cyrus pragnął rozwiązać najśpieszniej, nie chciał jednak zbyt nagle wystawiać chorego na próbę, bo w nieznajomym widział tylko chorego. Towarzysze inżyniera wzięli szczery udział w tem dziele miłosierdzia i wkrótce wszyscy, z wyjątkiem Penkroffa, zaczęli podzielać jego nadzieje.

Inżynier wywierał widocznie duży wpływ na nieznajomego i potrafił w nim wzbudzić rodzaj przywiązania. Postanowił więc próbować to przywiązanie, przenosząc go w inne miejsce, ukazując mu to morze, na którem dawniej oczy jego tak długo się zatrzymywały, i lasy — przypominające mu ten — w którym przeżył lat tyle.

— Czy tylko nie zechce uciec — skoro poczuje się wolnym — rzekł Spilett.

— Przekonamy się o tem — odpowiedział inżynier.

— Ho! ho! — zawołał Penkroff — jak tylko będzie mógł, ucieknie tak prędko, że go dogonić nie zdołamy!

— Nie sądzę — odpowiedział inżynier.

— Spróbujmy — rzekł Gedeon.

Cyrus Smith i Penkroff zbliżyli się do nieznajomego, który leżąc przy oknie, wpatrywał się w pogodne niebo.

— Chodź ze mną, mój przyjacielu — rzekł do niego inżynier.

Nieznajomy wstał natychmiast, zwrócił oczy na Cyrusa i poszedł za nim. Gdy spuścili się na dół, koloniści odstąpili trochę od niego, aby czuł się zupełnie swobodnym. Postąpił wtenczas kilka kroków ku morzu, oczy jego ożywiły się, lecz nie myśląc o ucieczce, patrzył z widoczną przyjemnością na fale, rozbijające się o brzegi wyspy.

— Widok morza nie budzi w nim chęci do ucieczki — rzekł Gedeon. Zobaczymy co to będzie dalej.

— Tak — rzekł Cyrus — zaprowadźmy go teraz na płaszczyznę, ażeby las zobaczył. Tam dopiero dowiemy się czegoś stanowczego.

— Zresztą nie będzie mógł uciec, — rzekł Nab — bo mosty są pozwodzone.

— A cóż dla niego znaczy taki wązki strumień — odezwał się Penkroff. Zaręczam, że go przeskoczy, nie zamoczywszy nogi.

— Zobaczymy — odpowiedział inżynier, — nie spuszczając oczu z nieznajomego.

Gdy doszli do miejsca w którem las się zaczynał, nieznajomy z upojeniem chwytał w piersi przesiąkłe wonią drzew powietrze, i zapuścił wzrok w gęstwinę. Koloniści stanęli tuż za nim, aby go przytrzymać, gdyby okazał chęć ucieczki. Rzeczywiście, była chwila, że nieszczęśliwy chciał rzucić się w strumień, oddzielający go od lasu, posunął się już naprzód, ale cofnął się natychmiast, pochylił głowę i dwie łzy wielkie potoczyły się z jego oczu.

— A! — zawołał Cyrus Smith — płaczesz, więc znów jesteś człowiekiem!

(Ciąg dalszy nastąpi)

W DNIU IMIENIN

Antoniemu St. Bassarze i Jantkowi z Bugaja.

Dzięki Wam Bracia, dzięki serdeczne
Za Wasze pieśni z wiejskiego sioła,
Które tak grają jak fale rzeczne,
Tak dusze koją, jak głos anioła!

Dzięki Wam, dzięki, za barwne kwiaty,
Które ścielecie na naszej „Roli“,
Które nam ślecie do nizkiej chaty,
O, bo tak koją, gdy serce boli.

Żyjcie szczęśliwi na setne lata,
Na karty „Roli“ kładźcie swe dusze,
Śpiewajcie dalej dla chłopa-brata,
Śpiewajcie rzewne pieśni pastusze.

Gdy Was nieszczęścia gromy przywalą
I serca będzie ustawać tętno,
Tu niech się serca Wasze użalą,
Śpiewając piosnkę rzewną, namiętną!

Te męki, cierniem bólu zadane,
My zrozumiemy duszą prostaczą,
Damy współczucie Wam niekłamane,
Z Waszemi nasze serca zapłaczą.

A gdy Wam szczęście osłoni czoła,
To Wy się dzielcie z nami radością —
Niech do nas płynie pieśń Wam wesoła
A my zapłacim bratnią miłością.

Wawrzyniec Pietrucha.



Ale mi dojechał ten cały Zakała w poprzednim lumerze »Roli«. Źli się chudziacek, ze go baba molestuje o moje gadanie w »Roli«, lacego ja cięgiem o babach pletę. Prawda, że on mnie ta i broni, ale taka obrona, to nic nie warta, Bez to, kiedy tak, to dziś ani słówkiem o babach nie pisnę.

Baby chciałyby, aby je kuzdy Maciek chwalił a tu jak się nie da, to nie da i choćby człek chciał, to nijak nie obstoi. Bo i cóż o babach pedzieć mozna dobrego, zwłasca chłopu, kiej same baby na siebie nigdy nic dobrego nie pedzą. Choćby była we wsi baba, kieby sam janioł z nieba, to i ją som siadki tak przenicują, ze zrobią z niej carnuchę, kieby kominiarz jaki. Choćby ftóra nie miała zadnych wadów, to one jej same wynajdą tyle, ze się jej ani o nich nie śniło.

I poradź tu z babami!

A wicie która jest dobra baba? Nie wiecie? No to ja wam powiem? Za dobrą babę, to ja se miarkuję taką, która dba, aby chłopu na jedzeniu ani zadnych przyjemnościach nie zbywało: która się do niego, gdy przyjdzie z roboty, uśmichnie i serdecznie przegada; która więcej dba, aby było w chałpie i wele dziecek ochędozno, aniżeli o swoje strojenie się. Dobra baba, to taka baba, która w niedzielę abo wiecorem zamiast iść na bajki do somsiadek weźnie uczciwą gazytę abo ksiązkę i chłopu a dzieckom jaką opowiastkę przecyta.

Dobra baba, to taka baba, która chłopowi nie wystraja komendyi, ale ma zawdy la niego dobre i ciepłe słowo.

Dobra baba, to wkońcu taka baba, która wnosi do chałpy spokój i scęście; która razem z chłopem się raduje i razem śnim trapi.

Taka jest dobra baba, ale cy takich bab wiele na świecie? Prawda, ze są, ale moze ich mniej na całem świecie, jak kudłów na moi głowie.

A kiedy juz tak Marek Zakała indycy się w ich obronie, to niechby te wszyćkie dobre baby pozbirał na furę, powiózł je do Krakowa, do gazeciarzy i dał wszyćkie wydrukować w »Roli«. Ale mnie się widzi, ze on to ino tak ze strachu gadał przed swoją, coby go nie lunęła warzechą przez jadackę.

I ja dzisiaj byłbym co o babach pedział, ale jakby się Kaśka Myrdalonka o tem zwiedziała, toby dopiro była jajeśnica. Bez to dziś ani słówka o babach nie powiem.

A co do ty zeniacki, jak mnie Zakała chce mieć zięciem, to niech swoją dziopę przyśle mi do Zatracony Wsi: obejrzę, a jak się nada, to będę widział.

Ino mu to mówię przódzi, ze dziopa bez grajcarów to nie la mnie, bo ja z kochania nie wyzyje, ale przydałby się poskobecek chleba i donicka zimniaków a na to grajcarów trzeba.

Z TYGODNIA.

Nowy marszałek krajowy. Następcą hr. Stanisława Badaniego na stanowisku marszałka został Adam hr. Gołuchowski. W życiu obywatelskiem bierze on udział, jako poseł sejmowy z większej własności powiatu czortkowskiego, poseł parlamentarny z okręgu Husiatyn Zaleszczyki. Mandat sejmowy piastuje od r. 1895, mandat parlamentarny zdobył po raz pierwszy w r. 1885 i piastował go do r. 1897; następnie został wybrany w r. 1900 i w r. 1911. Jest marszałkiem Rady powiatowej powiatu husiatyńskiego i prezesem Banku hipotecznego. Hr. Adam Gołuchowski jest synem śp. Agenora znakomitego męża stanu, ongi namiestnika Galicyi, z którego imieniem łączy się dzisiejsze odrodzenie kraju; bratem zaś hr. Agenora Gołuchowskiego, b. ministra spraw zagranicznych. Hr. Gołuchowski cieszy się uznaniem i sympatyą wszystkich stronnictw. Swoim charakterem, swoją prawością zdobył sosie powszechny szacunek, jest człowiekiem stałych zasad, dzielnego charakteru, to też kraj widzi w nim godnego następcę tak bardzo zasłużonego marszałka Badeniego.

Konferencya pokojowa. Na propozycyę Rosyi przyjść ma do skutku międzynarodowa konferencya dla pośrednictwa w wojnie włosko tureckiej. Rosya miała oświadczyć, iż z góry rezygnuje z wytoczenia na tej konferencyi jakiejkolwiek europejskiego znaczenia sprawy. Przypuszczają, że Austro-Węgry zgodzą się na konferencyę pod warunkiem, że żadna sprawa bałkańska nie będzie poruszaną. Konferencya miałaby więc jedynie na celu pokój włosko-turecki i zakończenie tej tak długo trwającej wojny.

Krwawe i burzliwe zajścia w Sejmie węgierskim. Posiedzenia sejmu węgierskiego, na których większość, z prezydentem Sejmu hr. Tiszą na czele, złamała przemocą obstrukcyę opozycyi, stanowić będą znamienną kartę w dziejach parlamentaryzmu w Europie. Opozycyjni posłowie, rozsierdzeni, że sejm węgierski uchwalił nową ustawę wojskową, chcieli uniemożliwiać obrady, podobnie jak w naszym Sejmie Rusini przy pomocy trąb, bębnienia i hałasów. Prezydent Sejmu hr. Tisza, nie mógł do tego dopuścić. Gdy posłowie wykluczeni za karczemne zachowanie się w Izbie sejmowej na szereg posiedzeń pojawili się w sali, musiał przy pomocy policyi kazać ich wyprowadzić. Nie on naruszył mir i powagę parlamentu, lecz niesforni posłowie, którzy nie chcieli się poddać zasłużonemu wykluczeniu, lecz chcieli awanturować się dalej w sejmie. Całą też odpowiedzialność za plamę, jaka spadła na parlament węgierski, wskutek wtargnięcia policyi, ponosi wyłącznie opozycya. Opozycya nie znalazła echa w kraju i ludność zupełnie biernie i obojętnie przyjęła wyrzucenie posłów z sali posiedzeń i wyniesienie przez policyantów.

Ale nie koniec na tem. Polała się nawet krew w sejmie węgierskim. Dnia 7 b. m. poseł opozycyjny, Kovacs strzelił trzykrotnie z rewolweru do prezydenta hr. Tiszy, ale wszystkie strzały chybiły. Po dokonaniu zamachu, Kovacs strzelił do siebie, raniąc się śmiertelnie.

Poseł Kovacs wydalony był na 30 posiedzeń z izby posłów, nie mogąc więc wejść do sali, wtargnął do loży dziennikarskiej i stamtąd dał 3 strzały do prezesa izby, a gdy strzały te chybiły, skierował broń przeciwko sobie, strzeliwszy dwukrotnie. Wszyscy posłowie zerwali się z miejsc swoich, w sali zapanował popłoch, posiedzenie więc przerwano, wkrótce jednak hr. Tisza wznowił posiedzenie i burzliwie

oklaskiwany przez większość posłów, rzekł do zebranych:

— Szaleniec strzelał do mnie i sam sobie wymierzył sprawiedliwość. Przejdźmy do porządku dziennego.

Słowa te większość przyjęła burzliwemi oznakami uznania, z ław zaś opozycyi zacietrzewieni posłowie wołali do hr. Tiszy, że on jest mordercą Kovacsa.

Zamach na komisarza królewskiego. Dnia 8 b. m. w Zagrzebiu dokonano zamachu na życie bar. Cuvaja, komisarza królewskiego pozbawionej obecnie konstytucyi Chorwacyi. Zamachu dokonał 22-letni student Łukasz Jukić, strzelając dwukrotnie do samochodu, którym jechał Cuvaj z żoną, radcą Hervoicem i sekretarzem. Cuvaj uszedł cało, zginął natomiast Hervoic. Sprawca ścigany przez policyę, zabił, strzelając za siebie jednego policyanta, dwóch zranił.

Pruskie nadużycia wyborcze i pruski wyrok. Sądownictwo pruskie okryło się nową hańbą. Świeżo odbył się przed sądem przysięgłych w Grudziądzu, w Prusiech zachodnich, proces w sprawie gwałtów wyborczych w Świeciu, podczas ostatnich wyborów do niemieckiego parlamentu. Akt oskarżenia zarzucał 20 obwinionym, młodym rzemieślnikom polskim, że w dniu wyborów ściślejszych w Świeciu mieli się dopuścić gwałtów publicznych, w których, jak wiadomo, poturbowano policyę i wybito nieco szyb wskutek naturalnego oburzenia, że kandydat polski Sas Jaworski, mający wszelkie szanse wyboru, przepadł, a wyszedł z urny Niemiec Halem. Z przesłuchania oskarżonych pokazało się, że zajście samo w Świeciu było zupełnie błahe, że rozdęto je tylko sztucznie do rozmiarów — politycznego rozruchu. Wyszło dalej na jaw, że rozgoryczenie tłumów było aż nadto uzasadnione niesłychanemi nadużyciami władz pruskich, które nawet sąd pruski stwierdził. Urzędnik powiatowy Martini, mimo zasłaniania się tajemnicą urzędową, musiał zeznać pod przysięgą, że w czasie wyborów dokonano w komisyi licznych nadużyć, że z reguły unieważniano kartki p. Jaworskiego. Wobec tych wszystkich zeznań sam prokurator odstąpił od wielu punktów oskarżenia i polecił wszystkim oskarżonym przyznać okoliczności łagodzące. Mimo to, wbrew wszelkim oczekiwaniom, zapadł wyrok, zasądzający oskarżonych: jednego skazano na 1 rok więzienia, dwóch na więzienie po 10 miesięcy. Niesprawiedliwość wyroku jest tem jaskrawszą, iż okazało się dowodnie, że wybory, w których wybrany rzekomo został Niemiec Halem, były jednem wielkiem bezprawiem. Wybór Halema powinien zostać unieważniony w parlamencie niemieckim, a miejsce jego jako poseł zająć winien Polak p. Sas-Jaworski.

Powstanie w Albanii szerzy się coraz bardziej. Powstańcy podczas werbunku rekrutów napadli na domy żandarmeryi tureckiej i spalili je. Albańczycy żądają od Turcyi samorządu, to jest na razie hasłem powstania.

Wydalanie Włochów. Rząd turecki uchwalił wydalenie Włochów z granic Turcyi. Około 50,000 Włochów będzie musiało opuścić Turcyę. Z miasta Smyrny wydalono już ich 1,200. Rząd włoski ma zamiar zwrócić się do sądu rozjemczego w Hadze, aby zażądać od Turcyi wypłaty odszkodowania wydalonym.

Zrzeczenie się tronu króla greckiego. Gazety donoszą, że podobno król grecki, Jerzy, po 50-letnim jubileuszu swych rządów, ma zamiar złożyć koronę na rzecz następcy tronu Konstantego.

KRONIKA.

Od Redakcyi: Koniec półrocza szybko się zbliża, prosimy więc prenumeratorów półrocznych o wczesne odnowienie prenumeraty na drugie półrocze, aby nie doznali przerwy w wysyłce „Roli“.

(J. S.). **Grad.** Dnia 28 maja padał grad w powiecie tarnobrzeskim i nawiedził najgorzej gminy Baranów i Dymitrów duży i mały i część Suchorzowa. Grad padał niedługo, lecz był wielkości gołębich jajek. Oziminy są wszystkie zniszczone, tak że gospodarze muszą żyta i pszenice orać i siać co innego. Szkody są znaczne a część tylko ubezpieczona.

(J. H.) **Pożar.** W dniu 4. czerwca koło godziny 7 wieczór wybuchł pożar w Gruszowie, w powiecie wielickim, u Jakóba Piecha. Spłonęła stodoła, chlewy i dach z domu mieszkalnego. Spaliła się maciora z 6 prosiętami, ciele i dwa psy. Koń jeden nogi poparzył. — Reszta bydła było na pastwisku. Pożar spowodował mały chłopiec syn służącej, bawiąc się zapałkami w wozowni na wozie. —

Ocalona przez psa. Niedawno temu w Tarnowie pewnej nocy włamał się bandyta do mieszkania p. Tokarzowej i usiłował ją w celach rabunkowych pozbawić życia. Zajście to miało przebieg następujący: P. Tokarzowa, właścicielka realności, żyła bardzo odludnie i gromadziła z dnia na dzień majątek. Brama jej kamienicy była owego wieczora jeszcze otwarta mimo, że upłynęła już dawno godzina 10. Zeszła więc sama na dół i zamknąwszy bramę, udała się do swego mieszkania. Zbrodniarz, który przed zamknięciem bramy ukrył się w domu wpadł teraz do mieszkania p. T. chwyciwszy wielki (30 cm. długi) klucz od bramy, który p. T. zostawiła na oknie, wepchnął ten klucz w usta p. T. a powaliwszy ją na ziemię, usiłował ją pozbawić życia.



Wtedy wierny jej pies począł głośno szczekać a odpowiedziały mu psy sąsiadów, alarmując całą okolicę. Rzezimieszek, kąsany przez psa, ustąpił na sekundę od swej ofiary, która zdołała się podnieść i zawołać przez okno o pomoc. Gdy sąsiedzi się zbiegli, skorzystał bandyta z zamieszania i umknął. Ofiara zbrodniarza jest ciężko ranna, ale życiu jej nie grozi chwilowo niebezpieczeństwo.

(M. S.). **Piękna uroczystość.** Dzień 1 i 2 czerwca był dla tutejszej gminy bardzo uroczystym. Odbyła się konsekracya kościoła nowo zbudowanego, na który to obrzęd przybył Najprzew. Ks. biskup tarnowski. Już przez cały tydzień poprzedzający przybycie Arcypasterza panował ożywiony ruch i przygotowania. Budowano bramy tryumfalne, ulice ubierano chorągwiami narodowemi i zielenią. W sobotę 1 b. m. około godz. 3 po południu ruszyła ban-

derya w liczbie około 30 pod komendą p. Pawła Rybskiego. Około godz. 6 i pół wieczór huk moździeży i głos dzwonów oznajmił zbliżanie się Ks. Biskupa, który jechał w otoczeniu oddziału banderyi.

Po przybyciu do bramy tryumfalnej przed kościołem ustawiono procesyę, zaś chłopcy ubrani w białe płótnianki nieśli wieniec obok Ks. Biskupa i tak zaprowadzono Go w procesyi do wybudowanej kaplicy, gdzie przedtem przeniesiono z kościoła Przen. Sakrament, Przy wchodzie do kaplicy chór złożony z miejscowego i zamiejscowego nauczycielstwa odśpiewał na cztery głosy męskie Antyfonę »Ecce Sacerdos magnus«. Poczem niejscowy Ks. Proboszcz wyraził w imieniu wszystkich radość z powodu przybycia Najdost. Arcypasterza, na co Ks. Biskup serdecznie odpowiedział i udzielił wszystkim Błogosławieństwa Apostolskiego.

W niedzielę dn. 2 czerwca rozpoczęły się msze św. o godz. 4 rano. Około godz. 7 udano się z procesyą na plebanią po Ks. Biskupa i wprowadzono do kaplicy, gdzie odprawil cichą mszę św. O godz. 8 i pół rozpoczął Ks. Biskup ceremonie około konsekracyi kościoła najpierw zewnątrz później wewnątrz kościoła, które trwały do godz. 11 i pół. Po ukończeniu konsekracyi kościoła wygłosił Ks. Biliński z Bochni podniosłe kazanie, poczem Ks. Dziekan Sękowski z Wiśnicza nowego solenną sumę z asystą, podczas której chór odśpiewał szereg pieśni na cztery głosy męskie. W czasie sumy Ks. Biskup udzielał wiernym Sakramentu Bierzmowania. Na uroczystość konsekracyi kościoła zjechało wiele wybitnych osobistości: Poseł do Rady Państwa Jan bar. Götz, Starosta bocheński Żeleski, Marszałek powiatu Hanusz, st. radca sądu Zacharyasz i wiele duchowieństwa z okolicy. Około godz. 5 po południu odjechał z Grobli Najd. Arcypasterz w towarzystwie banderyi przy dźwięku dzwonów i huku strzałów moździerzowych.

Krakowskie Tow. Oświaty Ludowej założyło w maju b. r. 7 nowych czytelń w gminach: Jata i Cholewiana Góra (pow. Nisko), Witanowice (Wadowice), Kożuchów (Strzyżów), Wola Górecka (Brzozów), Wróblowice (Podgórze), Biała (Biała).

Zasiliło zaś 56 bibliotek nowemi książkami w następujących miejscowościach: Dydnia, Golcowa, Grabownica, Skrzyńska, Przysietnica, Temeszów, Wydrna (Brzozów), Kąty, Tarnowiec (Jasło), Kosowy, Krzątka, Przyłęk (Kolbuszowa), Czułówek, Kobylany, Ruszcza (Kraków), Szkoła sług (Kraków miasto), Czaszyn (Lisko), Jasionka, Jaszczew, Korczyna, Krościenko Wyżne, Lubatowa, Targowiska, Turaszówka, Zręcin (Krosno), Dębina, Sarzyna, Wysoka, (Łańcut), Chorzelów, Jaślany, Padew, Narodowa, Radomyśl, Wola Wadowska, Zarównie (Mielec), Bieńkówka, Juszczyn, Krzyszkowice, Maków, Skomielna, Słonne, Stróża, Toporzysko, Trzemeśna, Żarnówka, (Myślenice), Bieliny (Nisko), Barcice, Gostwica, Jasienna, Maszkowice, Moszczenica Niżna, Moszczenica Wyżnia, Żeleźnikowa (Nowy Sącz), Kluszkowce, Nowe Bystre, Sromowce Wyżne (Nowy Targ).

Na ten cel przesłano 2481 książek. wartości 2030 koron. Ogółem w r. 1912 rozesłano do Czytelń 7980 książek, wartości 6351 koron. —

Z Towarzystwa rolniczego okręgowego w Krakowie. W dniu 21 maja odbyło się Walne Zebranie, przy udziale przeszło 80-ciu członków T-wa i zaproszonych gości. Na porządku dziennym oprócz innych była sprawa powstać mającej cukrowni w naszym powiecie i kwestya uprawy buraków cukrowych. W nader ożywionej dyskusyi, jaka wywiązała się po krótkiem referacie, brali udział liczni członkowie, między niemi najwybitniejsi rolnicy z krakowskiego i sąsiednich powiatów jak pp. Władysław Żeleński, Andrzej Chwalibóg, Marszałek dr. Skrzyński, hr. Władysław Mycielski, ks. Uryga, dyrektor Szafrański; z mniejszych rolników pp. Serczyk, Ptak, Jarzyna, Wójcik i wielu innych. Wszyscy mowcy zgodnie przyznawali wielkie dla rolnictwa znaczenie z powstać mającej cukrowni oraz — podając za przykład sąsiednie kraje: Ślązk, Morawy i Czechy — wyliczali płynące stąd korzyści dla rolnictwa krajowego wogóle, a dla naszego i sąsiednich powiatów w szczególności. Wszyscy też bez wyjątku obecni rolnicy oświadczyli gotowość, popierania wedle sił i możności, sprawy nowej cukrowni i zgłaszali udział w subskrybcyi, oraz podawali ilości morgów, jakie zobowiązują się przeznaczać pod uprawę buraków cukrowych. Zapał objawiony na Zebraniu rolników, dla sprawy cukrowni, winien zachęcić Komitet do najusilniejszych starań, by powstanie jej nastąpić mogło w jak najkrótszym czasie.

Wybuch granatu. Ze Stanisławowa donoszą: Na pastwisku w lesie w Podpieczarach pastuszkowie wiejscy znaleźli nabój, który, jak się następnie przekonano, był granatem, pozostawionym w roku zeszłym podczas ćwiczeń wojskowych. Uradowani chłopcy zaczęli coś majstrować koło pocisku, który nagle wybuchnął, raniąc ciężko trzech obecnych. Jednemu z nich wybuch oderwał obie nogi, drugiemu nogę i nos, trzeci jest poraniony na całem ciele. Rannych odwieziono do szpitala. Ofiarom własnej nieostrożności grozi ciężkie kalectwo.

Rozpaczliwy czyn. Niedawno temu w Czerniowcach na Bukowinie mieszkańców pewnego domu obudził wielki huk. Usiłując dociec tego huku, ujrzeli nagle wydobywające się z pomieszkania, zajmowanego przez kolejowego podurzędnika, niejakiego Karola Putzlachera, kłęby dymu i płomieni. A gdy przerażeni sąsiedzi, po daremnem dobijaniu się do drzwi, wyważyli je i wpadli do wnętrza mieszkania, spostrzegli, ku swemu największemu przerażeniu, Putzlachera, leżącego w kałuży krwi na ziemi i trzymającego w kurczowo zaciśniętej dłoni dymiący jeszcze rewolwer, w około zaś morze płomieni.



Dającego słabe oznaki życia, Putzlachera, wyniesiono na podwórze i zawezwano natychmiast pogotowie ratunkowe, które po udzieleniu mu pierwszej pomocy, odwiozło go do szpitala, gdzie jednak nieszczęśliwy, odzyskawszy zaledwie na chwilę przytomność — wyzionął ducha. Powodem rozpaczliwego kroku była niezgoda w rodzinie. Pewnego dnia, zrozpaczony, przyszedłszy wieczorem do domu, poskładał wszystkie meble, suknie i pościel na jedną kupę w pokoju, zlał je silnie naftą i podpalił — następnie zaś wyszedłszy do drugiego pokoju i pozamykawszy wszystkie drzwi na klucz, zastrzelił się.

(P. K.) **Sokół w Polskiej Lutyni.** W niedzielę, dnia 12 maja, odbyło nasze młode, bo dopiero przed rokiem założone gniazdo sokole, swe pier-

wsze doroczne walne zgromadzenie. Obrachunek z pracy i rozwoju tegoż towarzystwa, przedstawia się, jak na pierwszy rok. bardzo korzystnie. To też jest nadzieja, że placówka ta zajmie niepoślednie miejsce w uświadomieniu tutejszej ludności, jako też w korzystnem ułożeniu się tutejszych stosunków w przyszłości. Dzisiaj gniazdo to skupia w sobie wprawdzie tylko 30 naszych młodzieńców, ale to kwiat tutejszej młodzieży. Mimo trudności, jakie musi pokonywać prawie każde młode towarzystwo, zdołało tutejsze gniazdo urządzić 4 przedstawienia, 2 bale, 1 wieczornicę i sobótki, potrafiło przełamać zaporę finansową, jaką stanowiło zamówienie za gotówkę przyrządów gimnastycznych, mundurków. Ponadto wspierano sąsiednie towarzystwa przez gromadny udział w ich przedsięwzięciach. Dodatnio przedstawia się także obrót kasowy towarzystwa, gdyż w dochodach osiągnięto kwotę 513·80 K., w wydatkach zaś 338·33 K., wtem czysty zysk wynosi 174·34 K. Przed walnem zgromadzeniem wygłosił p. profesor Waga z Orłowej odczyt »O konstytucyi 3 maja« za co składamy mu na tem miejscu najserdeczniejsze podziękowanie. Że słowa jego nie poszły na nieurodzajną glebę, świadczy to, że po odczycie zebrano na dar narodowy 3 maja 18·80 K., pomimo, że liczba zebranych była dość skromna.

(F. K.) **Nieszczęśliwy wypadek.** We czwartek, dnia 23 z. m. byli podróżni na dworcu kolejowym w Piotrowicach, Śl. austr., świadkami zgrozą przejmującego wypadku. W chwili, gdy urzędnik kolejowy Blahut, przechodził przez tor z poleceniami dla personalu kolejowego, ruszyła nagle lokomotywa, porywając i wlokąc z sobą blisko 20 metrów nieszczęśliwego urzędnika. Po stwierdzeniu nieszczęścia wydobyto z pod kół lokomotywy śmiertelnie pokaleczonego z pogruchotaną czaszką i bez prawej ręki. Ofiarę przewieziono do szpitala w Ostrawie. Wypadek ten jest tem boleśniejszy, ile że Blahut świeżo się ożenił.

(F. K.) **Zaginiony robotnik**. Przed kilku dniami na jednym szybie w Karwinie, Śl. austr., po odbytej kontroli marek szybowych stwierdzono, że jeden z młodocianych robotników nie wyjechał po »nocnej szychcie«. Zarządzone natychmiast poszukiwania odniosły skutek po 20 coś godzinach. O kilkanaście kilometrów od miejsca pracy znaleziono o słup opartego młodzieńca bez światła. Zasnął on prawdopodobnie, obudziwszy się zaś, obrał zły kierunek, aż po kilkugodzinnej wędrówce, pozbawiony jedynego swego towarzysza, światła, zdany się widział na los. Na szczęście ten ostatni dosyć mu sprzyjał.

(F. K.) **Pożar.** Dnia 21 z. m. o godz. 1 po południu wybuchł w Morawskiej Ostrawie wielki pożar w fabryce papy Lutnara. Pożar wybuchł w oddziale destylacyjnym w czasie, gdy pewien robotnik wylewał asfalt. Zajęły się bowiem gazy i one to spowodowały, że w kilku minutach cały wspomniany oddział stanął w płomieniach. Dzięki energicznej akcyi ratunkowej, w której pracowało nieustannie 7 sikawek ręcznych, 2 parowe i 1 automobilowa, udało się pożar zlokalizować wyłącznie na oddział destylacyjny, ten jednak zniszczony został zupełnie.

Straszna katastrofa. W Welersdorfie, w Austryi dolnej, przy ładowaniu 200,000 kilogramów prochu rządowego, nastąpił d. 7 b. m. rano straszny wybuch. Trzydzieści dwie osoby zginęły na miejscu, a 112 osób odniosło rany mniej lub więcej ciężkie. Pod wpływem wtrząśnienia powietrza, runęły okoliczne kominy fabryczne, drzewa poobalały się, wyrwane z ziemi z korzeniami. W promieniu 25 kilometrów popękały wszystkie szyby w oknach. Nawet w oddalonym o 45 kilometrów Wiedniu słyszano huk wybuchu. Miejsce katastrofy przedstawia widok okropny. Znaleziono w różnych miejscach porwane szczątki ludzkie. Stu dwudziestu ranionych umieszczono częściowo w koszarach, częściowo zaś w szpitalu. W okolicach Wiednia sądzono w pierwszej chwili, że nastąpiło trzęsienie ziemi. Ośmiu ludzi wybuch zmiażdżył nie do poznania. W promieniu 30 kilometrów wyleciało od 20 do 30 tysięcy szyb. Olbrzymi obłok dymu, gnany przez wiatr, dotarł aż do Wiednia, gdzie okrył warstwą sadzy kamienice. Na miejsce katastrofy wysłano pociągi ratunkowe. Jak przypuszczają, wybuch nastąpił wskutek samozapalenia, wywołanego przez rozkład chemiczny prochu, w chwili ładowania skrzyni na samochód wojskowy.

Przed Sejmem węgierskim. W owe pamiętne dni zaburzeń w Sejmie węgierskim dzielnica, w której znajduje się gmach sejmu, wygląda jakby zawieszono tam stan oblężenia, Gmach sejmowy otoczony był ze wszystkich stron wojskiem. W ulicach patrolowała żandarmerja. Ostre zarządzenia i skonsygnowanie siły zbrojnej, podziałało uśmierzająco na awanturników, ogół zaś mieszczaństwa uznaje postępowanie prezesa izby za usprawiedliwione. Ludzie spokojni i rozważni, twierdzą że paraliżowanie prac Izby za pomocą hałaśliwej obstrukcji jest także aktem przemocy i środkiem nielegalnym, a więc „gwałt niech gwałtem się odpiera". Inaczej zasada parlamentaryzmu: wola większości — nie mogłaby istnieć i funkcye machiny państwowej byłyby udaremnione.

Podstęp wojenny. Podbój Trypolisu odbywa się, jak wiadomo, niezmiernie powoli. Dziesięć miesięcy trwa już wojna, a Włosi nie posunęli się od morza poza kilkanaście kilometrów w głąb kraju. Do regularnych bitew nie przychodzi prawie nigdy. Odbywają się za to ustawiczne drobne potyczki między przedniemi strażami.



Turcy napadają wciąż na wysunięte placówki włoskie, uciekając się do najrozmaitszych fortelów. I tak niedawno zdarzyło się, że włoski patrol wywiadowczy po jakiejś utarczce, postanowił przeszukać jaskinię, przed którą leżało kilku zabitych wrogów. W chwili, gdy oficer włoski zbliżył się do jaskini ze swymi ludźmi, owe rzekome trupy porwały się z ziemi i dały ognia do wrogów. Obrazek nasz przedstawia ten niezwykły podstęp wojenny.

Pożary w Berlinie. Według świeżo ogłoszonego sprawozdania, w r. 1911 stwierdzono w Berlinie 18.095 pożarów, z których 125 przybrało wielkie rozmiary, a 300 średnie. Reszta przypada na pożary drobne lub stłumione w zarodku. W ciągu całego roku zdarzył się tylko jeden dzień, w którym straż ogniowa nie była wzywana.

Stosunki zdrowotne w Rosyi. O stosunkach zdrowotnych, panujących w Rosyi, daje wyobrażenie

spis wypadków epidemii, zaszłych w ciągu jednego tygodnia n. p. w Kijowie. Tamtejszy miejski urząd zdrowia podaje następujące cyfry: 4 wypadki tyfusu plamistego, 4 brzusznego, 57 powrotnego, 6 wypadków ospy, 20 dyfterytu, 9 szkarlatyny, 13 odry i 5 wypadków kokluszu. Tak zawsze bywa w Rosyi. Przecież w ubiegłych latach cholera, z którą uporano się dość szybko w innych państwach, w Rosyi trwała parę lat.

Bogaty pies. Pisma rosyjskie donoszą: Zmarła w mieście Unglicza, zamożna właścicielka domów, Elżbieta Leontjewowa, zapisała cały swój majątek, wartości 100.000 rubli na utrzymanie pozostałego po niej pieska »Sierki« i — trzech staruszek pielęgnujących pieska. Pieska zbadał lekarz weterynaryi i uznał go za zdrowego. Pies stał się przeto spadkobiercą majątku swej pani i zamieszkał zgodnie z jej wolą, w jednym z jej pokojów.

Redaktor w klatce lwa. W Petersburgu, w ogrodzie dzikich zwierząt, pewien redaktor założył się ze swymi znajomymi, że on wejdzie do klatki ze lwami razem z pogromcą. I rzeczywiście, gdy ten o godzinie 6 wieczorem, jak zwykle, wchodził do klatki, redaktor wszedł z nim razem. Tam odkorkowali butelkę wina i wypili po jednym kielichu. Przyjaciele obecni przy tem spisali protokół, który zaopatrzono w sześć podpisów, a sprowadzony fotograf uwiecznił odważnego redaktora na fotografii w otoczeniu lwów.

Rozjuszony byk. W zeszłym miesiącu w mieście Łodzi w Królestwie Polskiem uciekł z rzeźni byk i biegnąc ulicą wpadł na 37 letnią Stefanię Tomaszewską i stratował ją śmiertelnie. Przechodnie usiłowali zatrzymać rozjuszone zwierzę, lecz biegło ono dalej i na dalszej ulicy wpadło na 8-letnią Fridę Matche. Nieszczęśliwe dziecko poniosło śmierć na miejscu rozszarpane przez byka. Na ulicach powstał wielki popłoch. Dano znać do cyrkułu, skąd przysłano kilku policyantów, którzy zaczęli strzelać do byka z rewolwerów, ale strzały okazały się za słabe. Wtedy zaczęto strzelać z karabinów i byka wreszcie zabito. Stefanię Tomaszewską odwieziono w stanie bardzo ciężkim do szpitala.

Runięcie dwu domów. Z nieznanej dotychczas przyczyny runęły we wsi francuskiej Villa Savary, dwa domy przywalając gruzami śpiących głęboko lokatorów. Zbudzeni ze snu gwałtownym hukiem mieszkańcy wioski pośpieszyli nieszczęśliwym z ratunkiem i po uciążliwej pracy, zdołali wydobyć z pod gruzów 6 zwłok, tudzież 7 osób ciężko rannych.

Śmierć prawdziwa i pozorna. Czy wiedza lekarska rozporządza pewnymi środkami, któreby z całą pewnością pozwalały stwierdzić śmierć człowieka — oto pytanie, na które do dziś dnia nie można otrzymać stanowczej odpowiedzi. Owszem, w ostatnich czasach większa część uczonych oświadcza się przeciwko temu twierdzeniu, dowodząc, że pomimo wszelkie badania w tym kierunku ludzkość nie posiada bezwzględnie pewnego znamienia śmierci, ponieważ śmierć prawdziwa i pozorna posiadają wiele podobieństwa. I w rzeczywistości historya nauki lekarskiej wskazuje cały szereg wypadków, w których zdania lekarzy o nastąpieniu śmierci okazały się fałszywemi. Kiedy niedawno przenoszono cmentarz św. Innocentego w Paryżu, stwierdził pewien lekarz — na podstawie niezwykłego położenia szkieletów — że bardzo znaczna część pogrzebanych była w letargu i zmarła dopiero w grobie. Wiele trupów lub szkieletów leżało bowiem skurczonych i poprzewracanych, miało poodgryzane palce u rąk, pozginane w zapasach ze śmiercią członki itd. Pewien uczony francuski przypomniał także wypadek jenerała d'Ornano, zaszły w XVIII wieku. Jenerał trafiony został kulą w czasie odwrotu »wielkiej armii« w roku 1812 z Moskwy. Stwierdzono, że umarł. Zarządzono więc pogrzeb zmarłego. W chwilę po pogrzebie zgłosił się kapitan, oświadczając, iż chce ciało zmarłego zabrać ze sobą do Francyi. Ciało odkopano i złożono na wozie, na którym po pewnym czasie jenerał odżył, a wyleczony żył jeszcze lat kilkanaście.

Pożar w Konstantynopolu. Stolicę Turcyi nawiedził znowu pożar, który zniszczył prawie doszczętnie jedną dzielnicę. Z początku doniosły telegramy z Konstantynopola, że powiodło się umiejscowić pożar, okazało się jednakże później, że wiadomość ta odnosiła się do innego, małego pożaru, który powstał równocześnie na przedmieściu. Drugi, wielki pożar wybuchnął w poniedziałek rano w stambulskiej dzielnicy Kabasakal w pobliżu pałacu ministerstwa sprawiedliwości, a ponieważ dął silny wiatr, więc ogień szybko ogarnął cały szereg drewnianych budynków. Zeznania robotników są sprzeczne, istnieją atoli wskazówki, że ogień został podłożony. Dla braku wody nie można było ognia stłumić w zarodku. Pałacom ministerstw sprawiedliwości i rolnictwa, groziło wielkie niebezpieczeństwo, które jednakże odwrócono. — W ministerstwie sprawiedliwości zaczęły już płonąć ramy okien.

Części miasta, ciągnące się aż do toru kolejowego, zostały zniszczone. Do południa spaliły się dwie duże dzielnice, po południu ogień zniszczył 5 dalszych dzielnic. Ogółem spaliło się 2.000 domów, przeważnie nieubezpieczonych. Straty oceniono na 5 milionów franków. Katastrofa dotknęła ubogą ludność. Zginęły w płomieniach dwie osoby: mała dziewczynka i jakaś chora kobieta. Rannych jest bardzo wielu.

Bitwa morska w przyszłości. Anglia, zagrożona na morzu coraz bardziej przez Niemcy, pracuje obecnie z gorączkowym pośpiechem nad znacznem pomnożeniem i udoskonaleniem swych balonów wojennych, które w przyszłej wojnie morskiej — zdaniem znawców — niemałą odegrają rolę.



Z tych ulepszonych balonów, szybujących nad oceanem, polecą zabójcze bomby, zdolne zniszczyć największe okręty wojenne. Nasza rycina przedstawia przyszłą bitwę morską, tak jak ją sobie można wyobrazić obecnie.

Wybuch wulkanu. Z Meksyku, w Ameryce środkowej, donoszą o gwałtownym wybuchu wulkanu Pico de Colima. Wybuch zburzył niemal zupełnie miasto Zapattan, położone na zboczu wulkanu. Zginęły tam 34 osoby. Jednocześnie odczuto w znacznym promieniu od góry silne trzęsienie ziemi. W mieście Guzmanie runęły liczne domy. Spadające cegły i kamienie zabiły 16 osób, poraniły zaś 13. Wybuch wulkanu trwa w dalszym ciągu. Na znacznej przestrzeni ziemię pokrywa gruba warstwa popiołu. Wiele plantacyi tytoniu uległo zniszczeniu.

Przestroga. W ostatnim numerze »Pracy«, ludowego organu Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego, znajdujemy opis niebezpieczeństw, na jakie wystawiają się nasi emigranci, o ile powierzają się opiece rozmaitych niesumiennych agencyj. Wychodźcy tacy, jakto stwierdza polski kapelan emigracyjny w Rotterdamie, ks. Bazyli Mazurowski, nie tylko płacić muszą za karty okrętowe więcej niż się należy, a podróż swą do tego miasta odbywać długą i uciążliwą drogą przez Wiedeń i Szwajcaryę, ale nadto już po przybyciu do Rotterdamu poniewierać się muszą w niechlujnych, brudnych norach, zanim stąd wyekspedyowani zostaną w dalszą podróż. Ks. Mazurowski radzi tedy, aby wychodźcy, którzy pragną jechać do Ameryki na Rotterdam, nabywali karty okrętowe tylko na linię holenderską. Karty te sprzedaje Biuro Podróży Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego w Krakowie, które udziela także wszelkich potrzebnych informacyj. Linia holenderska oprócz wzorowo zbudowanych wielkich okrętów, posiada w Rotterdamie dla wychodźców własne wygodnie i schludnie urządzone schronisko, obok którego umyślnie dla emigrantów polskich wybudowana została kaplica katolicka. Pełni tam obowiązki duszpasterskie ks. Mazurowski, Franciszkanin, który emigrantów naszych otacza troskliwą opieką i służy im wszelką radą i pomocą. Przy schronisku staraniem księdza Mazurowskiego założona została biblioteka polska.

Zwłaszcza dziewczęta i kobiety, odbywające podróż bez opieki, powinny usilnie wystrzegać się agentów, namawiających do podróży na Rotterdam, nie na linię holenderską, ale na rozmaite zakazane w państwie austryackiem kompanie i biura podróży, gdyż bardzo łatwo paść mogą ofiarą handlu żywym towarem.

Wielki pożar lasów w Kanadzie. W Kanadzie w Ameryce ogromny pożar objął lasy na przestrzeni, jak przypuszczają, 1000 mil kw. ang. Dotychczas spłonęło kilkaset domów, stojących w lasach. Około 2000 ludzi jest już bez dachu nad głową.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

PP.: Jan Śliz w Z.: Numera od początku roku wysyłamy każdemu, kto za ubiegły czas nadeśle pieniądze. — Jan Małkowicz w G.: Artykuły można przesłać pocztą jako list opłacony, a jeżeli będą dobre, to je wydrukujemy. Za miłe słowa serdecznie dziękujemy. Andrzej Górski w B: Zwiedzać można zawsze za pewną opłatą — najlepiej jednak w niedzielę. — Andrzej Dziedziak w Z.: Wiersze, o ile dobre i stosowne dla »Roli« chętnie wydrukujemy. — Adam Jesionek w T. Wiersz przyszedł, ale schowaliśmy go na później. — Tadeusz Aseńko w J.: Zagadki w miarę miejsca umieścimy. — Stanisław Czaja w Sz.: A nie lepiej jeszcze tego roku? — Stanisław Szczotkowski w B.: Nadesłany utwór jeszcze do »Roli« nie nadaje się. — Jan Korzeń w B.: Nadesłana praca p. A. F. zdradza swobodę pisania, więc szczerze zachęcamy, aby próbował dalej. O Florku wydrukować nie możemy, gdyż ci, którzyby się nie poznali na żarcie, mogliby wziąć owo opowiadanie za wyśmiewanie się. Niech p. A. nadeśle coś innego. — Kazimierz Tokarski w M.: Zagadki będą. Za tak miłe życzenia serdecznie dziękuję. Wiersz lub proza, o ile będą dobre, znajdą miejsce w »Roli«. — Jan Gesing w M. i Michał Gesing w M.: Zagadki w miarę miejsca umieścimy. — Walenty Pasierb w Cz.: Za tak ładne i miłe życzenia, wyrażone wierszem, serdecznie dziękuję. Żałuję mocno, iż brak miejsca nie pozwolił na wydrukowanie ich. Gawędy będą umieszczane co drugi tydzień. Kazimierz Rogucki w T.: A. Mirkiewicz, Kraków, ul. Mostowa. — Antoni Kardysz w Ż.: Kroniki w przyszłym numerze, gdyż przyszły zapóźno. — Andrzej Kłapkowski w W. K.: Sprawa bardzo zawiła, najlepiej poradzić się na miejscu dobrego adwokata. »Rolę« dla wszystkich wysyłamy we czwartek w grubej opasce, związaną sznurkiem — widocznie ktoś na miejscu przetrzymuje aż przeczyta. — Marya Prajerówna w L.: Z zasady miejscowości nie umieszczamy. Za przesyłkę dzięki — Józef Kapuściński w L.: Z artykułu wkrótce skorzystamy — dzięki!

Za zmianę adresu należy się 40 halerzy.

Zagadki do nagrody.

1. PRZEPLATANKA.

(Ułożył Leon Brożek).

A, a, a, ą, c, ć, d, e, e, e, e, g, i, i, i, i, i, j, k, p, r, s, s, t. o, o, u, y, w, n, n, n, m, z, z.

Ułożyć znane przysłowie.

2. SZARADA.

(Ułożył Michał Gesing).

Pierwsze z połową drugiego
Nadają ludzie rodu królewskiego.
A zaś pół pierwszego wstecz i całość drugiego
Jest — jak sądzę — u człowieka każdego,
Nie omijając mnie samego
I także Maciusia naszego,
Całość drugiego i część pierwszego
Każdy otrzymał od Boga wiecznego,
Do połowy pierwszego wtrąć pół drugiego,
A całość da ci siłę konia niejednego.
Z całością prawie każdy się zderza
I czasem nawet brawo jej uderza.

3. SZARADA.

(Ułożył St. J. Karasiński).

Pierwsza i druga jest wody odmianą,
Trzecia z kreseczką do przyprawy służy.
Całość za każdą otwieramy zmianą,
Czy też na słońcu czy też wśród burzy.

4. SZARADA.

(Ułożył Andrzej Dziedziak).

Weź pierwszą z drugą odwrotnie obie,
Zadaj ten mały, miły trud sobie,
Więc te dwie mówią ludzie zwiedzeni,
Przeciwność planów tak się to mieni.
Druga, to nazwa co widzą oczy,
Każda rzecz miano swoje mieć musi.
Drugie i trzecie woda się toczy
Szemrząca falą i błyski kusi
Księżyca mdłego; całość to znana,
Przez ludzi w lecie jest spożywana,
Soczyste owoce, czarwone, małe,
Często zielone, a także białe.

5. PRZEPLATANKA.

(Ułożył Drąg Józef).

Skała, kanie, nóż, bok, igła, dynie, tama, łzy, kat, kozy.

Ułożyć z powyższych zgłosek znane przysłowie.

6. SZARADA.

(Ułożył Andrzej Dziedzicki).

Pierwsza jest miejsce, gdzie jest drzew wiele,
Tu można szukać w lecie ochłody,
Teraz zaś bracie, to złączaj śmiele,
Pierwsza wstecz z drugą, masz bez przeszkody
Zdrobniałe imię rodzaju żeńskiego,
Pierwszą literę wyjmij z pierwszego,
O to się pytaj w kartach biegłego.
Całość rzecz znana, tak u starego
Znaleźć ją możesz, jak u młodego.

7. SZARADA.

(Ułożył Drąg Józef).

Pierwsza z jedną drugiej
To napój wyborny,
Druga ci go daje,
Wypij, bądź spokojny.
Jest to drzewo, rośnie w lesie,
Z wiosną miły zapach niesie.

• • •

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*.

Termin do 22 czerwca 1912 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z numeru 22 »Roli«:
1. Łamigłówka literowa: **Jak Kuba Bogu tak Bóg Kubie. Jak ty komu, tak on, tobie** 2. Zagadka: **Grom-morg.** 3. Szarada: **Kopernik.** 4. Szarada: **Dziewanna.** 5. Tajemniczy bilet: **Patagonia.** 6. Tajemn. bilet: **Inspektor.** 7. Figielek: **Nie pomoże wronie kąpanie a krukowi mydło.**

Wierszem otrzymaliśmy następujące rozwiązanie:

Jakby grom z jasnego nieba
Z Zatraconej Wsi
Wieść idzie, ze juz potrzeba
Maćka zegnać mi.
Bo wyjezdza kajś daleko
W Patagonię — by...
Pchły wetrzepać, co go sieką
I łzy ronić — łzy!
Teraz wiedzciez wszyćkie dziewy,
Co ja widzę tez,
Że on głupi, moiściewy,
Więc go licho bierz!
Bo gdziez sukać obcych światów
Jak Kopernik, by...
Wziałby Kaśkę do stu katów,
By trzepała pchły.
Kapiel wronie nie pomoże
I nie trzeba mydła
Krukowi, więc... mój Ty Boże!
Na nic moje sidła!
I kołaca mu z dziewanna
Dałam, jesce coś
Więcej świtem, pora ranna,
Bo tak radził ktoś...
On w świat jedzie z Zatraconej
Zamiast tu... do mnie,
Badź więc Chryste pochwalony!
Maciuś, zegnam cię!
I namówię panny, dziewy,
Piewiem, Maciuś, ześ...
Ześ ty bardziej zatracony
Niz ta twoja wieś!
I z innemi strejk ja zrobię,
Drżyj Maciusiu, drżyj!
Jak ty komu, tak on tobie,
Kubę w głowie miej!
Bo ja Kaśka Myrdalonka
Cekam kilka lat,
Kieby w lipcu kosy łąka!
Nie jedź, Maciuś, w świat!

Wojciech Cetera.

Oprócz tego w oznaczonym czasie dobre rozwiązania zagadek nadesłali PP.: Józef Pękala z H., Wawrzyniec Potoczny z H., Koło Macierzy z S., Józefa Hirszberg z K., Józef Adamczyk z S. W., Jan Baran z M., Józef Kołatek z S, Franciszek Teper z M.K., Jan Kozioł z S.

Pierwsza nagrodę p. t. ***Z chłopskiej niwy*** wylosował p. **Wojciech Cetera** z H. zaś druga p. t *Odwet* p. **Józef Pękala** z G.,

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 11 czerwca

Pszenica	Kor.	11 20	do	11·60	za 50 kg.
Żyto	„	10·15	„	10 85	„
Jęczmień	„	9 60	„	10 50	„
Owies	„	10·25	„	10 90	„
Otręby pszenne	„	7 90	„	8·—	„
Otręby żytnie	„	7 90	„	8 10	„

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 11 czerwca:

Buhaje	Kor.	120	do	500	za sztukę
Woły	„	330	„	500	„
Krowy	„	160	„	260	„
Jałówki	„	110	„	190	„
Cielęta	„	30	„	95	„
Owce i kozy	„	—	„	—	„
Świnie bita waga)		160	-	174	za 50 kg.

Potwierdzenia prenumeraty.

PP.: Kozak Wawrzyniec z Z. 4 K. — Dr. Edward Misky z J. 4 K. — Marya Buzek z R. 2 K. — Grzegorz Danyluk z Z. 2 K. — Stanisław Przeklosa z P. 1 K. — Franciszek Schmied z O. 2·33 K. — Władysław Pasternak z N. 2·50 K. — Józef Sznusz z K., 2 K. — Jan Polok z Z. 2·50 K. — Wawrzyniec Jaskot z Ch. 2·50, Melchior Znomirowski z L. 2 K. — Mikołaj Wasylok z E. 2·40 K., Czytelnia T.S.L. z S. 2 K. — Władysław Słabosz z B. 1·35 K. — Kółko rolnicze z B. 2 K. — Jan Adamski z B. 2 K. — Józef Pobuta z Ł. 2 K.

Wydawca: Stanisław Kopernicki. **Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.**
Drukarnia „Czasu" w Krakowie pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.